

Piotr Zaremba: Niebezgrzeszna sanacja. Fenomen spektaklu „Paradiso”

Strzelecki potrafił powiedzieć w swoim widowisku parę przykrych prawd o międzywojennej Polsce. Spytać choćby, czy naprawdę zawsze Polacy tak miłowali wolność. Ale ten artysta skrył się za konwencją widowiska retro, gdzie polityka sąsiaduje z nieszczęśliwą miłością, geszeftami i portretami psychologicznymi. Czy pozwolono by mu pójść dalej? – pisze Piotr Zaremba w cyklu „Teatr według Zaremby”.

Niedawno pisałem o nieporozumieniach wokół przedstawienia „Fantazja polska” Macieja Wojtyszki w reżyserii Andrzeja Strzeleckiego w warszawskim Teatrze Ateneum. Spektakl o przygodach Ignacego Paderewskiego w USA podczas pierwszej wojny światowej został przez polskich krytyków dość powszechnie zlekceważony. A ja miałem niemiłe poczucie przepaści kulturowej między jego twórcami a recenzentami, którzy, jak się zdaje, w ogóle nie pojmują czegoś takiego, jak opowiadanie historii przez anegdotę, ba samej historii Polski nie czują i nie lubią. To różnica wrażliwości, po części także pokoleniowa, choć podziały są naturalnie bardziej skomplikowane.

A tu tymczasem Andrzej Strzelecki, weteran widowisk komediowych, rozrywkowych, ale i bawiących się historią, sam spróbował z nami porozmawiać nie tylko jako reżyser, ale i jako autor. Przedstawienie „Paradiso” pokazane właśnie przez Teatr Telewizji nie ma szans nawet na ostrzał krytyki. Powstało przecież jako dzieło TVP, więc zostanie niemal powszechnie przemilczane.

W kostiumach z II RP

Ostatnio w „Gazecie Wyborczej” w chwalczym skądinąd artykule o aktorze Cezarym Żaku, „nie zauważono” w ogóle jego świetnej roli w znakomitej sztuce Wiktora Szenderowicza „Ekspedycja”, będącej satyrą na Putinowską Rosję (a w szerszym sensie bardzo przewrotną przypowieścią o współczesnych przemianach cywilizacyjnych). Po prostu jakby jej nie było.

Sam bywam mocnym krytykiem politycznego kursu obecnej telewizji publicznej. Niemniej niezauważenie Teatru Telewizji jako jednego z niewielu miejsc, gdzie toczy się jakikolwiek dyskurs, w miejsce prostej nawałanki w wojnie kulturowej, to i zbrodnia i błąd. A przy tym dowód duchowego kalectwa, potężnej wady wzroku.

„Paradiso” skądinąd powinno zainteresować właśnie „tamtą stronę”, bo w teorii przynajmniej spełnia jej postulat krytycznego, wolnego od uwarunkowań „polityki historycznej” spojrzenia na historię. Tyle że po pierwsze jego narracja jest zbyt cienka, subtelna, żeby zaciekała politruków. Po drugie, trzeba by uznać, że na Woronicza mogło w ogóle powstać coś sensownego. O krytykach związanych z konserwatystami nie ma z kolei co mówić. Bo prawie ich nie ma.

Nie żeby „Paradiso” było wyłącznie przedstawieniem historycznym. Nie, w pierwszej warstwie można je uznać za „kostiumowe”, o ile za kostiumy uznać stroje z międzywojnia. Za trochę romans, trochę kryminał, trochę opowieść obyczajową.

W jednym lokalu nazwanym „Rajem” kłębią się w roku 1938 postaci z elity, czy może elit, przysiadają się do siebie, obsługują tyleż interesy co miłosne czy towarzyskie potrzeby. Nad wszystkim góruje świetna, choć nieco bardziej progresywna niż przedwojenne cukierkowości muzyka Marka Stefankiewicza, niepokojące piosenki śpiewane lekko schrypniętym głosem Katarzyny Dąbrowskiej. Sporo tu klimatu dla klimatu, tak jak w lekko kiczowatych dekoracjach Marka Chowańca. Konfekcja sąsiaduje z obserwacjami niedokończonymi, aluzyjnymi, czasem niewiele znaczącymi osobno, czynionymi można by rzec jako dygresje. Po prostu po to, aby pokazać: taki był tamten świat.

Wszystko to grane jest z dużym biglem przez najprzedniejszych polskich aktorów: Piotr Fronczewski, Jan Englert, Wojciech Pszoniak, Piotr Machalica, Ewa Wiśniewska, Witold Dębicki, z nieco i sporo młodszych: Sławomir Orzechowski, Dominika Kluźniak, Tomasz Sapryk, Krzysztof Tyniec, wielu innych. Taki koncert wart jest obejrzenia jako czysty popis, że można. Wybaczam drobne kiksy językowe (polska hrabina mówiąca o kimś w 1938 roku „dupek”, nie wiem czy to słowo wtedy u nas było), czy nawet niejasności fabuły. To wszystko tętni życiem, pulsuje czymś staroświeckim, filtrowanym jednak przez całkiem współczesną ostrość spojrzenia.

Zabawa i widmo Berezy

Ale tak naprawdę nad wszystkim wisi coś więcej niż ogólny żal rodem z pokładu Titanica. Najmocniejszy wątek scenariusza Strzeleckiego to opowieść o pisarzu Wierzejskim (Piotr Machalica) szukającym pomsty za pobyt w Berezie Kartuskiej. Powie ktoś: przecież takiego pisarza nie było. Ale był, prawda zamknięty na dużo krócej w tym polskim obozie półkoncentracyjnym,

Stanisław Cat-Mackiewicz. I były historie zabójstw (generał Zagórski) czy pobić (Adolf Nowaczyński, Tadeusz Dołęga-Mostowicz), czasem dotyczące ludzi z elit kulturalnych. Nie odtwarzając drobiazgowo wiernie faktów, oddano jednak klimat tamtych czasów i tamtej polityki. Może tylko lekko go gdzieś przerysowując.

To klimat podobnych historii. I klimat przywoływanej w konwersacji przy stole, absolutnie kuriozalnej w warunkach praworządnego państwa ustawy o ochronie imienia marszałka Piłsudskiego. To także gryzące plotki z sanacyjnego dworu. I przekonanie, wyrażane pośród beztroskiej zabawy, że tej elicie nie wolno może wszystkiego, ale wolno jednak wiele.

Tak po prostu było. Niemniej dysonans między prawdą a wyobrażeniami wielu z nas jest tak wielki, że nawet na przedpremierowym pokazie prowadzący dopytywał aktorów o II RP jako kraj wesołych rozrywek i świetnej kultury. I to prawda, były rozrywki, była kultura, ale było i to.

Strzelecki otworzył co najmniej dwie dyskusje. Przypomniawszy, że każda elita niekontrolowana, nawet złożona z zasłużonych, kiedyś powodowanych idealizmem, ludzi się degeneruje. Wiceminister spraw wewnętrznych Barwicki (świetnie nakreślony przez Sławomira Orzechowskiego) jest polskim inteligentem, a równocześnie, gdy trzeba, bezwzględny drapieżnik. Ale to również dyskusja o tym, czy Polska zawsze była istotnie ostoją wolnościowych pragnień i odruchów z wizji prof. Andrzeja Nowaka. Przecież bałwochwalcza ochrona imienia Piłsudskiego, typowy przejaw ucieczki od wolności, to dzieło części tego narodu.

Wszyscy kochamy Marszałka

Na pokazie pogratulowałem twórcy odwagi. Wszak i Jarosław Kaczyński i Donald Tusk powołują się, choć w różnych kontekstach, na Marszałka. Jest on najbardziej zmitologizowaną postacią tamtej epoki, symbolem. Duża część prawicy uważa go za swego protoplastę, jest on dla niej wyrazicielem dawnej bezgrzesznej, wspaniałej Polski.

Ale choć po lewej stronie mamy więcej prób demitologizacji (czasem zresztą topornych i ahistorycznych), także liberalna inteligencja go hołubi, bo, jak przypomina zawsze prof. Andrzej Friszke, to Dziadek powstrzymał narodową demokrację. To spojrzenie siłą rzeczy łagodzi spojrzenie na stworzony przez niego system, nawet jeśli czasem próbuje się oddzielać samego Marszałka od jego następców. To endecja ma złą prasę, ją można piętnować do woli. A tu nagle w „Paradiso” wypomina się rządzącym Polską międzywojenną także bicie endeków. A przecież nie mówi się choćby o sfalszowanych w 1930 roku wyborach i o znęcaniu się nad liderami opozycji w Brześciu.

Że mówi też o biciu endeków, to dlatego, że Strzelecki unika pisania czegokolwiek w imię jedynie słusznego założenia. Kiedy napisałem pierwszą recenzję z tego przedstawienia, pod moim postem wpisywali się (nie widząc jeszcze sztuki) obrońcy bezgrzeszności sanacji. Albo i tacy, którzy przyznają, że „błędy były”, ale przecież mniejsze niż w innych krajach Europy, gdzie szalały groźniejsze dyktatury.

Rzecz w tym, że ja się z tym ostatnim nawet i zgadzam, ba doceniam pewne osiągnięcia sanacyjnej ekipy, a jeszcze bardziej jej niepodległościowe korzenie. Tyle że literatura nie jest od wyznaczania historycznych kompromisów. W ocenie całości ona zawsze żywi się wycinkami, czasem nawet dobranymi arbitralnie.

„Paradiso” nie maluje zresztą obrazu państwa i społeczeństwa faszystowskiego. Raczej rozlażłego w swoich grzechach i zaniechaniach, prawie poczciwego, gdzie przemoc miesza się z atmosferą limitowanej wolności pobrzmiewającej w literackich fraszkach. Jednak takiego państwa, gdzie punktowo rodzi się zło, prawie obłaskawione, prawie powszednie, banalne. Taki właśnie, skrajnie banalny, jest wiceminister Barwiński w wykonaniu Orzechowskiego – w zderzeniu ze skrzywdzonym moralistą Wierzejskim-Machalicą.

Bliska mi jest taka wizja historii, ona wynika z faktów, ze źródeł, choć oczywiście inny wycinek mógłby wydobyć sympatyczniejsze, bielsze karty z dziejów późnej sanacji. Jednak warto dobitnie powiedzieć: piłsudczycy bili po mordzie, a czasem i zabijali, niekoniecznie powtarzając sobie: takie są czasy. Robili to, bo lubili, chcieli i mogli. Że nie posunęli się w nadużywaniu władzy dalej, to zaleta polskiego społeczeństwa i polskiej historii. Trochę pewnie i ich samych. Ale ich grzechy zasługują na uczciwy obrachunek, a przynajmniej pokazanie. Najbardziej wypośrodkowany werdykt historyczny nie zdejmuje indywidualnej odpowiedzialności z jednostek, czasem całych formacji.

Co nie znaczy, że takich obrachunków doczekamy się w polskiej popkulturze dużo więcej, choć padają wciąż wezwania do kręcenia filmów czy wystawiania sztuk teatralnych, także o dziejach II RP. Przy zalewie obrazów historycznych nie bardzo w to wierzę. Właśnie dlatego, że oznacza to konieczność rozstrzygnięcia wciąż budzących emocje sporów o oceny ideowo-polityczne.

Nikt pewnie nie zaryzykuje uczciwego zmierzenia się z legendą Piłsudskiego, bo to zbyt ryzykowne z punktu widzenia emocji wielu Polaków. Wyrzeknijmy się choćby nadziei na całościową artystyczną biografię Marszałka. Nikt raczej nie nakręci uczciwego filmu o Brześciu i Berezie, chyba że za cenę tuszowania i przeinaczeń. A gdyby spróbowano czegoś innego, bałbym się z kolei karykatury w drugą stronę. Skrajnie lewicowi twórcy może i byliby gotowi dać wyraz swojej niechęci, ale pewnie pytalibyśmy, łącznie ze mną, co to ma wspólnego z historią.

Sanacja nierozliczona

Wynika to z wielu okoliczności. Rozjazd narracji na skrajnie polaryzujące, tożsamościowe, ma swoje konsekwencje. Możemy liczyć z reguły na laurki lub akty oskarżenia. Ciężko jest zrozumieć zarówno wielu artystom, jak i zwykłym Polakom, że można pokazywać postać historyczną obciążoną błędami czy nawet grzechami, a zarazem zasłużoną i w innych punktach mającą rację.

Na taki portret zasługuje Piłsudski. Byłby pewnie w takim przypadku kimś w rodzaju monarchy angielskiego portretowanego z mieszaniną uznania i obrzydzenia przez ich dramatopisarzy i filmowych scenarzystów. W gruncie rzeczy na taki portret, pełen światła i cienia, zasługują wszyscy główni aktorzy tamtej dawnej historii. My jednak tego nie umiemy. Jesteśmy przyzwyczajeni do krzepienia serc lub totalnego odmawiania racji.

Strzelecki się od tego uchronił. Zagrał wszystkim na nosie, opowiadając mi na dokładkę dowcipnie o Amerykanach, którzy uważają dzieje mafii zapisaną w „Ojcach chrzestnych” za równoprawną część własnej historii. Ale ten artysta skrył się trochę za konwencją widowiska retro, gdzie polityka sąsiaduje z nieszczęśliwą miłością, geszeftami i portretami psychologicznymi. Czy pozwolono by mu pójść dalej?

Zwróćmy uwagę: w roku 2000 Andrzej Trzos Rastawiecki spróbował utrwalić w serialu telewizyjnym całą biografię Piłsudskiego. Ale jego dojrzały Marszałek, mimo że kreowany przez wielkiego Zbigniewa Zapasiewicza, jest tam zakłopotanym staruszkim tłumaczącym swoje najbrutalniejsze decyzje koniecznościami, tak jak je po latach objaśniał główny sanacyjny historyk-ideolog Władysław Pobóg-Malinowski. Ten Dziadek był pozbawiony emocji, żądzę władzy, drapieżności, które wyniosły go tak wysoko. To bohater z patriotycznych czytanek, nie z krwi i kości.

Takim był, skądinąd za cenę mniejszych nagięć rzeczywistości, bo niepokazany w okresie „błędów i wypaczeń”, Piłsudski pojawiający się w filmie „Wojna 1920 roku” Jerzego Hofmana czy w niedawnym widowisku Teatru Telewizji „Człowiek, który zatrzymał Rosję” Wojciecha Drozdowicza i Beaty Hyczko, trochę wyłamał się z tej konwencji Wojciech Tomczyk w sztuce „Marszałek”. Tyle że tam dość drapieżny wódz rozstrzyga dylematy głównie ze sfery polityki zagranicznej, więc często ma rację. Mechanizmy władzy, jakie mu towarzyszyły, są pokazywane niejako przy okazji, miękko.

Ja zresztą uważam ten jego portret za i tak odrobinę podretuszowany (choć efektowny, także dzięki Mariuszowi Bonaszewskiemu). Na nic więcej się jak na razie nie zdobyto – pomijając polityczne karykatury z epoki PRL, przede

wszystkim autorstwa Bogdana Poręby. Również stara „Śmierć prezydenta” Jerzego Kawalerowicza działa się w czasach zbyt odległych od rządów sanacji, aby mogła wnieść wiele do tej debaty, choć Jerzy Duszyński stworzył sugestywną rolę drugoplanową Piłsudskiego.

Bywało, że w III RP tworzono wręcz rzeczy zgodne z piłsudczykowską propagandą, jednak bardziej na potrzeby też współczesnych. Taką naturę miało telewizyjne widowisko Andrzeja Wajdy „Bigda idzie” – z roku 1999. W tej adaptacji książki piłsudczyka Juliusza Kadena-Bandrowskiego samego Piłsudskiego nie ma. Są za to, pod dość czytelnymi pseudonimami, jego czołowi wrogowie na czele z Wincentym Witosem. Wajda, piętnując rzekomą chłopską pazerność tego polityka dużo większego formatu, niżby wynikało z karykatury Janusza Gajosa, miał na myśli przestrogi przed Andrzejem Lepperem. Przy okazji podpisał się zaś pod największym może atakiem na demokrację parlamentarną sprzed 1926 roku. Służącą nie tyle naprawie tego systemu, co utworzeniu drogi samowładztwu obozu przekonanego, że tylko on reprezentuje Polskę. W jakim stopniu Wajda to rozumiał? Z jego wypowiedzi, trudno zbudować spójną całość.

Temat więc wciąż czeka, a zarazem, jeśli miałby się doczekać karykatury w tę czy w inną stronę, może nawet i lepiej, że leży odłogiem. Na razie mamy możliwość zajrzenia w epokę przez dziurkę od klucza, stworzoną nam przez Strzeleckiego. Zajrzenia wyrywkowego, choć rzetelniejszego niż większość prób wcześniejszych („Marszałka” Tomczyka z tej uwagi wyłączam).

Choć w „Paradiso” Piłsudski już nie żyje, jego wąsaty cień widać niemal na restauracyjnych stolikach i kiczowatych ścianach. Reżyser z pasją opowiadał, że nie powiedział w dziedzinie szperania w historii ostatniego słowa. Może więc to on pociągnie temat?

